Nr. 17 (porz. 198.) Kraków, sobota d. 25. kwietnia 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu“ jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2. Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu“, Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli Nr. 493 p. k. orzekł, że zamieszczony w Nrze 16 czasopisma „Obrona ludu“ z d. 18. kwietnia 1903 artykuł pod tytułem; „Zmiana rządu w Galicyi“ od: „Galicya od lat“ do końca strony 1 i 2 zawiera znamiona występków z §§ 300 i 491 u. k. i art. V ustawy z 17. grudnia 1862 Nr. 8/63 Dz. p. p., że zakazuje się rozszerzania tego artykułu, zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru a cały nakład takowego ma być zniszczonym, albowiem w artykule tym autor przez łżenie i wyszydzanie oraz niezgodne z prawdą przedstawianie pobudza do pogardy i nienawiści przeciw Namiestnictwu galicyjskiemu, c. k. Starostwu oraz urzędnikom tychże, którym z powodu ich urzędowania przypisuje poniżający sposób myślenia i pogardliwe przymioty.

C. k. Sąd Krajowy jako prasowy S. III. Kraków, dnia 18. kwietnia 1903.

Morelowski.

Czas to pieniądz.

— Jaka jest cena tej książki? — spytał przybyły po godzinnem przerzucaniu książek w składzie drukarni Franklina.

— Jeden dolar — odpowiedział subjekt.

— Jeden dolar? — odpowiedział kupujący. Czy nie mógłbyś pan wziąć mniej niż jednego dolara?

— Taka jest cena — była odpowiedź.

Kupujący rozglądał się jeszcze po książkach długą chwilę, poczem spytał:

— Czy pan Franklin w domu?

— Tak — powiedział subjekt — jest w tej chwili bardzo zajęty w drukarni.

— Dobrze, chcę widzieć się z nim — upierał się kupujący.

Przywołano zatem Franklina, którego kupujący spytał:

— Jaka jest najniższa cena, jaką pan możesz wziąć za tę książkę?

— Jeden dolar i ćwierć! — była pospieszna odpowiedź.

— Jeden dolar i ćwierć! Dlaczego pański subjekt zażądał odemnie dopiero co tylko dolara?

— Prawda — odrzekł Franklin — ale jabym chętniej się zgodził wziąć tylko dolara, niż zostawić robotę.

Człowiek zdumiał, a chcąc zakończyć rozmowę, rzekł:

— Bez żartów — powiedz mi pan najniższą cenę tej książki.

— Półtora dolara — odrzekł Franklin.

— Półtora dolara! czemu przed chwilą ofiarowałeś ją za dolara i ćwierć?

— Tak jest — odpowiedział Franklin chłodno — i wolałbym wziąć tę cenę przedtem, niż półtora dolara teraz.

Człowiek, nic nie mówiąc, położył pieniądze na kantorze, wziął książkę i opuścił sklep, otrzymawszy zbawienną naukę od mistrza w sztuce przemiany czasu na pieniądze. Ale i niejeden z nas powinienby mądrą naukę Franklina do siebie zastosować i odpowiednią korzyść z niej dla siebie wyciągnąć. Iluż to bowiem z karygodnego przyzwyczajenia całemi godzinami wystawa na rynku, przed karczmami lub innem publicznem miejscu, marnując napróżno drogi czas. Spytajcie się takiego próżniaka czy prenumeruje jaką gazetkę, to wam napewno i z całym spokojem odpowie: »Nie prenumeruję, bo nie mam czasu na czytanie gazet, ja mam co innego na głowie«!? A więc na wystawanie przed karczmą, na bezcelowe wałęsanie się po wsi lub mieście, na słuchanie głupich »gadek«, różnych nieprawdopodobnych bredni i dziwacznych opowiadań, to jest czas i to kilka godzin, ale na przeczytanie gazetki, z którejby się napewno czegoś pożytecznego dowiedział, to niema czasu. Nie sama tylko bieda jest u naszego ludu powodem, że tak mało czyta i prenumeruje gazetki, ale ten jakiś dziwny i niezrozumiały wstręt do nabywania obszerniejszej wiedzy, który lud chce nazwać brakiem czasu! Na poświęcenie kilku koron rocznie nawet najbiedniejszy gospodarz mógłby się zdobyć, choćby do spółki z drugim, nie mówiąc o zamożniejszych i każdy na czytanie gazetki ma aż nadto czasu, tylko jeszcze wielu a bardzo wielu nie umie ocenić wartości wolnych chwil od pracy, nie wie, czy też zapomina, że czas to pieniądz, więc go obraca na głupstwa i marnuje, wyrządzając sobie przez to niczem niepowetowaną stratę, gdyż raz zmarnowana godzina już nigdy nie powraca. Gdyby lud wolny czas od pracy zamiast na opowiadaniu o nieistniejących »boginkach«, »strzygoniach«, »błędnych światełkach« i innych niestworzonych bredniach zechciał poświęcić choćby w połowie na dalsze kształcenie się czytaniem gazetek i książek, to oświata jego byłaby już o dziesiątki lat postąpiła naprzód. Ale cóż, kiedy nasze dziecko, wyszedłszy ze szkoły, zamyka książkę i to prawie na zawsze i co się Jaś nauczył, Jasiek w większej połowie zapomni, a Jan po-

trafi już tylko stękając i ze »ślabizem« czytać. Nic więc dziwnego, że oświata ludu naszego postępuje prawdziwie żółwim krokiem. Jeden z uczonych powiedział tak: Chcesz się dowiedzieć, jaką jest oświata w jakim kraju, dowiedz się, ile tam pism ludowych wychodzi i ilu każde z tych pism ma prenumeratorów. I słusznie ten uczony powiedział, bo w istocie liczba pism i liczba prenumeratorów jest najlepszem świadectwem, na jakim stopniu stoi oświata dotyczącego kraju. Tego rodzaju zapytanie wydałoby dla Galicyi wcale niepochlebne świadectwo o stanie jej oświaty, bo na blizko trzechmilionową ludność polską wychodzi z dziesięć pism ludowych, które razem nie będą miały więcej prenumeratorów jak dwadzieścia tysięcy! Tymczasem w Ks. Poznańskiem jedna gazeta ludowa w Grudziądzu ma 52 tysiące prenumeratorów, nie mówiąc już o innych. Pokazuje się z tego, że lud w Galicyi bardzo mało czyta, dlatego też i oświata jego pozostaje na bardzo nizkim stopniu, a właśnie ten brak oświaty jest największym sprzymierzeńcem nędzy, która w tak niesłychany sposób doskwiera naszemu ludowi. Wprawdzie i u nas polepszyło się już nieco, ale będzie daleko lepiej, jeśli lud pozna wartość wolnego czasu od pracy i będzie go poświęcał nie na bezrozumne brednie o »boginkach«, »strzygoniach« i innych banialukach, ale go poświęci na czytanie gazetek i pożytecznych książek. Zapamiętajcie więc sobie bracia włościanie, że czas to pieniądz i że oświata jest bramą do dobrobytu, jak ciemnota do nędzy!

Nim słonko zejdzie, rosa oczy wyżre.

Dzisiaj już nie zobaczysz uroczystości patryotycznej, narodowej, na którejby nie widniały barwne sukmany chłopskie, mające niby być niezbitym dowodem zjednoczenia wszystkich warstw społecznych w jedno ciało narodowe. Weszło jakby w modę, aby przy szumniejszych i większych uroczystościach mieć wpośród siebie parę okazów w chłopskich sukmanach. Takich paradowych włościan jest kilku w Galicyi, co jakby aktorzy na scenie, tak oni występują na tych różnego rodzaju uroczystościach, niby reprezentanci ludu, choć ich do tej reprezentacyi lud nie upoważnił. Mają stańczycy parę swoich okazów włościańskich od parady, mają i demokraci kilku i zdaje im się, że ugoszczeniem tych swoich wybrańców, którychby zupełnie słusznie fagasami nazwać można, spełniają swój obowiązek względem ludu, zwłaszcza gdy jeszcze wobec tych figurantów paradowych włościaństwa palną sobie mówkę pełną rozczulenia i zapewnienia o miłości ludu. I dotąd wszystko jest w porządku, dopóki ta miłość ludu ma kończyć się tylko na mówkach i wykrzyknikach: »Niech żyje nasz lud kochany, niech żyją nasi bracia w siermięgach, niech żyje Polska ludowa!« Ale gdy przyjdzie okazać tę miłość czynem, to rzecz się zupełnie inaczej przedstawia. Wówczas wychodzi szydło z worka

i pokazuje się, że w ustach miłość dla ludu inaczej się przedstawia a w czynach inaczej. Jako próbka niechaj posłuży następujący fakt.

We Wielki Wtorek, dnia 7. kwietnia, na posiedzeniu Wydziału Rady powiat. krakowskiej postawił radca Fr. Ptak wniosek, aby pogorzelcom w Piekarach udzielić doraźnej zapomogi 600 koron ze względu na zbliżające się święta Wielkanocne. Zdawałoby się, że wniosek ten będzie jednogłośnie przyjętym, zwłaszcza, że ze serca płynące słowa Ptaka mogłyby kamienie do litości wzruszyć a cóż dopiero ludzi! »Wiecie Panowie, jak straszne nieszczęście nawiedziło gminę Piekary — powiedział p. Ptak.

»Zeszłego roku powódź na polach piekarskich zrządziła ogromne szkody i spustoszenia. W tym roku znów pożar zniszczył 17 domów doszczętnie, oprócz innych zabudowań gospodarskich. Oto zbliżają się święta Wielkanocne. Każdy z nas będzie się cieszył wpośród rodziny według swej możności. Tymczasem tych biedaków, tych pogorzelców jakież smutne czekają święta i gdy dzwony zabrzmią radośnie a wesołe »Alleluja« popłynie szeroko i daleko, to z ich ócz popłyną łzy bólu i głębokiego smutku. Okażmyż tym nędzarzom nasze współczucie i pospieszmy im z pomocą. Wszak oni dzisiaj bez dachu nad głową i bez własnego kąta. Gdy my się cieszyć będziemy, ich czeka w dniu powszechnej radości tylko płacz nad swoją niedolą. Gdy na naszych stołach znajdzie się i jajko święcone i kawałek szynki, pogorzelcy i dzieci ich obdarci i nadzy, bo się im wszystko spaliło, może nawet kawałka chleba mieć nie będą. Poślijmyż im te 600 koron, niech się jako tako okryją i niech sobie także jakie takie święta urządzą. Niech się przekonają, że o nich wśród nieszczęścia nie zapominamy i spieszymy im z pomocą, a to ich podniesie na duchu, to ich wzmocni i napełni radością, a uczucie wdzięczności zachowają dla nas na zawsze. Okażmy im współczucie i miłość nie słowami ale czynem, bo tylko czyny trafiają do serca!«

Niestety rzewne i tak do przekonania przemawiające słowa Ptaka nie zdołały zmiękczyć twardych i zimnych serc członków Wydziału. Za wnioskiem Ptaka głosowali tylko: Czekajski, Jarzyna i hr. Mycielski, reszta członków była przeciwną, więc wniosek upadł. Żałowano dla tych nędzarzy 600 koron, bo co ich też obchodzi, czy chłop podczas świąt będzie jadł, czy też tylko łzy będzie połykał, byle oni mieli stoły suto zastawione. Tak to wygląda miłość dla ludu w praktyce! Co więcej, jeden z członków Wydziału był za tem, aby tylko zaasekurowanym! pospieszyć z pomocą, tym zaś, co się nie zaasekurowali nie dać nic!!! na co rzekł p. radca Tetmajer: a więc ci mają ginąć z głodu? Dalej powiedział ów członek Wydziału, aby nie dawać żadnych pieniędzy, boby poprzepijali ale dać tylko zboże. Otóż przeciw takiemu »gadaniu« musimy zaprotestować, bo choć lud ma swoje błędy, to jednak tego nikt nie zdoła udowodnić, aby pogorzelcy otrzymywane datki pieniężne zanosili do karczmy. Zanadto wiele nędzy mają ci biedacy do odpędzenia od siebie i swych dzieci, aby wówczas mogli myśleć o pi-

jaństwie. Takie gołosłowne i krzywdzące pogorzelców twierdzenie świadczy tylko o braku serca u mówcy dla niedoli ludzkiej.

Wreszcie uchwalił Wydział dać dla wszystkich pogorzelców w Piekarach zapomogę w zbożu. Kiedy zaś ta zapomoga nastąpi, Bóg raczy wiedzieć, bo doświadczenie uczy, że przychodzi zwykle spóźniona i to rozdzielane zboże jest po większej części lichym poślądem. Niechże przynajmniej Wydział Rady powiatowej postara się, by to zboże dać na czas zasiewu i dać zboże dobre, aby się na pogorzelcach piekarskich nie spełniło przysłowie: »Nim słońce zejdzie, rosa oczy wyżre«.

DUCH.

Nie tłumaczę, nie zapewniam, nie przeczę. Jest to fakt, a fakt się konstatuje. Przychodzi mi często na myśl, że zachowanie się rozumnego człowieka wobec tych nadzwyczajności, co wprawiają w pomieszanie, zostało raz na zawsze określone przez Szekspira w pierwszej scenie »Hamleta«. Przypominacie sobie? Jest tam kilku młodych ludzi, czuwających w nocy na tarasie. I jeden z nich opowiada, że warty widziały przesuwającego się ducha zamordowanego króla.

Wywołuje to wybuchy śmiechu wśród grona wesołej młodzieży. Sypią się drwiny i protesty:

— Jakże człowiek, którego stoczyło robactwo, może wyjść ze swojego grobu?

Ale jeden z młodzieży kiwa głową. On tam był, kiedy przesunęła się nieuchwytna postać, biała, na tle nocy. I wypowiada słowa, które równie wielkie znaczenie mają dzisiaj, jak miały w chwili, gdy zostały wypowiedziane:

— Jest dużo rzeczy na niebie i ziemi, Horacyo, których niema w twojej filozofii.

W lipcu przeszłego roku zwiedzałem Szwecyę, w towarzystwie czterech czy pięciu serdecznych przyjaciół i tyluż miłych kobiet.

Pewnego dnia, płynąc krypą wzdłuż wybrzeża Westeras, dostrzegliśmy na małej wysepce zamek, który miał coś z powabu Drottningholmu. Nieodparta chęć dotarcia do tej ładnej siedziby, otoczonej ciemnemi sosnami i przepysznymi kwiatami, opanowała wszystkich wycieczkowców. Ulegliśmy jej. W przystani stała mała łódź benzynowa, którą opatrywał właśnie jakiś człowiek. Na moje polecenie, zwrócił się do niego jeden z naszych wioślarzy. Chcieliśmy się przynajmniej dowiedzieć, do kogo należała ta arystokratyczna siedziba.

— Do barona H... — odpowiedział człowiek, kłaniając nam się grzecznie.

Nazwisko, które wymówił, nie było mi obce. W ciągu poprzedniej zimy przedstawiono mię w Nicei obywatelowi, który je nosił. Był to dawny oficer, liczący lat około pięćdziesięciu. Opowiadano mi, że wkrótce po owdowieniu ożenił się po raz drugi z prześliczną

kobietą, którą miałem sposobność zachwycać się na jednym z balów. Podobną była doprawdy do łabędzi, które w tak wielkiej ilości snują się po jeziorach jej kraju.

— Czy baron H... jest w domu? — zapytałem człowieka, zajętego opatrywaniem łodzi. — Poznałem się z nim we Francyi tej zimy i jestem pewny, że gdyby był tutaj, nie odmówiłby nam przyjemności zwiedzenia zamku.

Maszynista odpowiedział bez podejrzliwości:

— Państwo nie ukończyli jeszcze swojej podróży poślubnej, ale skoro pan jest ich znajomym, możemy panu pokazać zamek.

Moi towarzysze nie posiadali się z radości. Przybyliśmy do brzegu i ładną, piaskiem wysypaną, irysami wysadzaną aleą, postępując za maszynistą, dostaliśmy się do bocznych drzwi zamku, któremi nas wprowadził.

Te szwedzkie zamki, kiedy nie są ruinami, podobne są wszystkie do siebie.

Ściany były udekorowane szwedzkiemi tkaninami, bardzo staremi, pięknemi swoją prostotą. Dokoła portrety baronów H... w ubraniach myśliwskich albo paradnych białych, na których wstęgi niebieskie Serafinów, złote orderu Szpady i czarne Gwiazdy Polarnej odbijały, jak bukiety kwiatów.

Weszliśmy do galeryi, która była familijnym salonem. Cudownie tu było jasno i przestrono. Wysokie okna rzucały całą moc światła na porostawiane po obszernym pokoju meble, ze smakiem ugrupowane, bądź przed kominkiem, bądź przy przenośnych stolikach z książkami i fotografiami. Zbliżyliśmy się do jednego z tych stolików, na którym stała fotografia w skórzanych ramkach, przedstawiająca portret barona H... w całej postaci. Twarz miał uśmiechniętą. Czuło się, że fotografia ta była zamienioną za inną w dniu zaręczyn. Zresztą złocone litery J. E., wytłoczone pod koroną, były początkowemi imion młodej, drugiej małżonki: »Jadwigi Elżbiety«.

Obok fotografii książka ze szwedzkiemi poezyami, na pół otwarta, leżała na nożu z kości słoniowej.

Prawie wszyscy turyści są dziś zaopatrzeni w aparaty fotograficzne do zdjęć szybkich.

Trzem z nas przyszła jedna myśl do głowy. Przed wyjściem z tego ładnego pokoju ustawiliśmy się rzędem na progu drzwi, i prawie równocześnie trzask trzech aparatów wskazywał, że wynosimy stąd pamiątkę na naszych czułych płytach.

Wszyscy zwolennicy podróży i fotografii wiedzą z jaką niecierpliwością oczekuje się, wróciwszy do domu, bileciku od zawodowego fotografa, który im pisze: »Jestem zadowolony z pańskich zdjęć. Kilka zwłaszcza klisz jest prawdziwie udanych. Raczy pan pofatygować się do mej pracowni, ażeby mi wskazać klisze, z których mam zrobić powiększenie«.

Co do mnie, zaraz po odebraniu takiego biletu, wsiadłem do powozu i udałem się do pracowni mego fotografa.

Żniwo było niezwykle bogate. Zobaczyłem kilka szkieł, które mogły wzbudzić zupełnie usprawiedliwioną zazdrość innych ama-

torów. Z kolei klisza z zamku przyszła mi pod rękę. Podniosłem ją zaraz do światła i nie mogłem się wstrzymać od lekkiego okrzyku zdziwienia.

Rozpoznawałem bardzo dobrze tło, wielki kominek, nadający właściwy charakter pokojowi, ale obok stolika, na którym stała fotografia barona H... wyrósł fotel, a na fotelu czarny cień. Zapytałem fotografa:

— Cóż to jest za czarna postać?... Plama?

Artysta wziął odemnie szkło i przypatrzywszy mu się dokładnie:

— Ależ nie! — widać przecież wyraźnie, że to kobieta, siedząca na fotelu.

— A więc ta klisza na nic się nie zdała. Byłem niezręczny. Zapomniałem ściągnąć płytę i dwa obrazy odbiły się na jednem szkle.

— Ależ nie, panie — rzekł podrażniony fotograf — jest tylko jeden!

— Salon był próżny, gdy fotografowałem!

— To niemożebne, bo oto jest jakaś osoba na obrazie... Były z panem damy?...

— Tak...

— Jedna z nich wypłatała panu figla... bez pańskiej wiedzy... Usiadła na tym fotelu.

— Poznałbym ją!

— O podobieństwie nie może pan sądzić teraz. Idę przenieść kliszę na papier i przekona się pan, że mam słuszność.

Oczekując na fotografa, przerzucałem dalej klisze. Ale nie widziałem ich wcale, nie interesowałem się niemi. Przeczuwałem, co nastąpi i nie byłem bynajmniej zdziwiony widokiem obrazu, który mi pokazano z tryumfem.

Na fotelu, próżnym w chwili dokonywanych przez nas zdjęć, siedziała kobieta. Zapatrzona była w portret, stojący na stole obok tomu poezyj. Przystojna, elegancka, smutna, mogła liczyć lat około trzydziestu. Miała na sobie białą, perkalową suknię, zupełnie skromną, jedną z tych modnych przed paru laty spódnicę formy dzwonu.

Nie chcąc dysputować o tych rzeczach z obojętnym człowiekiem, powiedziałem mu po prostu:

— Miał pan racyę, zapomniałem... Proszę wykończyć tę fotografię.

Kiedy ją już miałem w kieszeni, poszedłem do jednego z moich towarzyszów podróży, pana B., który równocześnie ze mną robił zdjęcie w zamku. Zastałem go w domu. Przybrałem obojętną minę i zapytałem go:

— Zadowolony pan ze swoich szwedzkich fotografij?

— Poniosłem szkodę! Moje płyty z Westeras zobaczyły przedwcześnie światło dzienne. Piękny zamek, galerya, ogrody... wszystko przepadło.

Nie tracąc czasu, udałem się do mego przyjaciela Hektora.

— Mój kochany — mówię mu — może się będziesz śmiać ze

mnie, ale ja jestem w niezgodzie ze sobą, z czego tylko ty możesz mię uleczyć. Czy masz już fotografie szwedzkie?

— Nie, ale mój fotograf mi powiedział, że są już gotowe.

— Proszę cię, jedźmy do niego. Mój powóz czeka na dole.

Pojechaliśmy do fotografa Hektora. Fotografie były już na papierze. Poprosiliśmy o pokazanie nam zdjęcia z zamku.

Hektor podskoczył.

— Cóż to za kobieia? W galeryi nie było nikogo, kiedyśmy tam weszli... Nikogo, kiedyśmy fotografowali...

— Jesteś pewny?

— Ale najzupełniej! A ty?

Za całą odpowiedź wyciągnąłem z kieszeni moje zdjęcie. Dłuższą chwilę milczenia przerwał pierwszy Hektor:

— Przestańmy się dziwić i postarajmy się o wyjaśnienie tej zagadkowej historyi. Jeden z moich przyjaciół pisał mi właśnie z Biarritz, że spotkał tam barona H... Poślę mu te dwie fotografie i poproszę go, żeby je pokazał właścicielowi zamku. Być może, że nie dostrzeżone przez nas lustro dało nam odbicie jakiego obrazu.

— Ależ, przypomnij sobie, Hektorze! W galeryi nie było obrazów.

— Mniejsza o to! Napiszę do mego przyjaciela i przyśle nam odpowiedź barona.

Dziś otrzymałem odpowiedź:

Baron H... poznał portret. To jego nieboszczka żona.

KRZYŻACKA MAĆ.

(Według powieści Sienkiewicza p. t. „KRZYŻACY".)

(Ciąg dalszy.)

Tak to modliła się urodzona w pogaństwie córka Kiejstuta, która choć w życiu codziennem zachowała jeszcze wiele przesądów i zabobonów, w kościele jednak z dziecinną bojaźnią i pokorą wznosiła oczy ku tajemniczej, niezmierzonej potędze. A tak samo pobożnie, choć z mniejszym lękiem, modlił się dwór cały. Zbyszko klęczał przed stallami wśród Mazurów, bo tylko dworki weszły z księżną za stalle, i polecał się opiece boskiej. Chwilami spoglądał na Danusię, która siedziała z przymkniętemi oczami koło księżnej — i myślał, że warto było wprawdzie zostać rycerzem takiej dzieweczki, ale też nie lada rzecz jej obiecał. Więc teraz, gdy piwo i wino, które był w gospodzie wypił, wywietrzało mu z głowy, zatroskał się niemało, jakim sposobem ją wypełni. Wojny nie było. Wśród nadgranicznego zamętu, łatwo było wprawdzie natknąć się na jakiego zbrojnego Niemca i albo jemu kości pokołatać, albo samemu głową nałożyć. Tak to i on mówił Maćkowi. »Jeno — myślał — nie byle Niemiec nosi pawi, lub strusi czub na hełmie«.

Z gości krzyżackich chyba jacy grafowie, a z samych Krzyżaków chyba komtur — i to nie każdy. Jeśli wojny nie będzie, to lata mogą upłynąć, nim on swoje trzy grzebienie dostanie, bo i to jeszcze przyszło mu do głowy, że nie będąc dotąd pasowanym, może tylko niepasowanych na pojedynkę w bój wyzywać. Spodziewał się wprawdzie, że pas rycerski otrzyma teraz z rąk królewskich, bo na to dawno zarobił, ale potem co? Pojedzie do Juranda ze Spychowa, będzie mu pomagał, natłucze knechtów, ile się da — i na tem koniec. Knechci krzyżaccy, to nie rycerze z pawiemi piórami na głowach.

Więc w tem utrapieniu i niepewności, widząc, że bez szczególnej łaski boskiej nie wiele wskórać potrafi, począł się modlić:

»Daj, Jezu, wojnę z Krzyżaki i Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi królestwa tego i wszystkich narodów, w naszej mowie Imię Twoje Święte wyznających. I nam błogosław, a ich zetrzyj, którzy radziej staroście piekielnemu, niżeli Tobie służąc, przeciwko nam zawziętość w sercu noszą, najbardziej o to gniewni, że król nasz z królową, Litwę okrzciwszy, wzbraniają się mieczem krześcijańskich sług Twoich ścinać. Za któren gniew ich ukarz.

»A ja, grzeszny Zbyszko, kajam się przed Tobą i od pięci ran Twoich wspomożenia błagam, abyś mi trzech znacznych Niemców z pawimi czuby na hełmach jako najprędzej zesłał i w miłosierdziu swojem pobić mi ich aż do śmierci pozwolił. A to z takowej przyczyny, iżem ja czuby pannie Danucie Jurandównie, a Twojej służce, obiecał i na moją cześć przysiągł.

»Co zasię więcej przy pobitych się znajdzie, z tego ja wiernie dziesięcinę kościołowi Twemu świętemu oddam, abyś i Ty, słodki Jezu, pożytek i chwałę ze mnie odniósł i abyś poznał, żem Ci szczerem sercem, nie po próżnicy obiecował. A jako to jest prawda, tak mi dopomóż, Amen!«

Lecz w miarę jak się modlił, topniało w nim coraz bardziej z pobożności serce — i nową obietnicę przyrzucił: »że po wykupieniu z zastawu Bogdańca, odda także na kościół wszystek wosk, który pszczoły przez cały rok w barciach zrobią. Spodziewał się, że stryj Maćko temu się nie sprzeciwi, a pan Jezus szczególnie będzie rad z wosku na świece — i chcąc go prędzej dostać, prędzej mu pomoże.

Ta myśl wydała mu się tak słuszną, iż radość napełniła mu całkiem duszę; był teraz prawie pewien, że zostanie wysłuchany i że wojna niebawem nastąpi, a choćby nie nastąpiła, to i tak on swego dokaże. Poczuł w rękach i nogach moc tak wielką, że w tej chwili na całą chorągiew byłby sam jeden uderzył. Pomyślał nawet, że przyczyniwszy obietnic Bogu, możnaby i Danusi ze dwóch Niemców przyrzucić! Zapalczywość młodzieńcza popychała go do tego, lecz tym razem roztropność wzięła górę, albowiem bał się, by zbytniem żądaniem cierpliwości boskiej się nie uprzykrzyć.

Jednakże ufność jego wzrosła jeszcze, gdy po mszy i po długim wypoczynku, na który udał się cały dwór, wysłuchał rozmowy, którą opat przy śniadaniu prowadził z Anną Danutą.

Ówczesne żony książąt i królów, zarówno przez pobożność, jak i wskutek wspaniałych darów, których nie szczędzili im mistrzowie Zakonu, wielką okazywały przyjaźń Krzyżakom. Nawet świątobliwa Jadwiga powstrzymywała, póki jej życia stało, wzniesioną nad nimi rękę własnego małżonka. Jedna tylko Anna Danuta, doznawszy od nich okrutnych krzywd rodzinnych, nienawidziła ich z całej duszy. To też gdy opat zapytał ją o Mazowsze i jego sprawy, poczęła gorzko skarżyć się na Zakon. »Jakoż się ma dziać w księstwie, mającem takich sąsiadów? Niby jest pokój: mijają się poselstwa i listy, a mimo tego nie można być pewnym dnia i godziny. Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czy nie rozbudzi się w pętach, albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. Nie ubezpieczą od zdrady przysięgi, pieczęcie i pergaminy. Nie inaczej przecie zdarzyło się pod Złotoryją, gdy w czasach najgłębszego pokoju porwano księcia w niewolę. Prawili Krzyżacy, że zamek ów groźnym dla nich stać się może. Aleć zamki naprawia się dla obrony, nie dla napadu — i któryż książę niema prawa we własnej ziemi ich stawiać, albo przebudowywać? Nie przejedna Zakonu ni słaby ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują. Kto im dobrze uczyni, temu się złem wypłacą. Jest-że na świecie zakon, któryby w innych królestwach takie dobrodziejstwa otrzymał, jakie oni od polskich książąt otrzymali — a jakże się wypłacili? Oto nienawiścią, oto grabieżą ziem, oto wojną i zdradą. I próżno wyrzekać, próżno samej nawet Stolicy Apostolskiej się na nich skarżyć, gdyż oni, w zatwardziałości i pysze żyjąc, nawet Papieża rzymskiego nie słuchają. Przysłali teraz niby poselstwo do Krakowa, ale tylko dlatego, że chcą od siebie gniew potężnego króla, za to co uczynili na Litwie, odwrócić. W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie królestwa i całego plemienia polskiego«.

Opat słuchał uważnie, potakiwał, a potem rzekł:

— Wiem, że przyjechał do Krakowa na czele poselstwa komtur Lichtenstein, brat w Zakonie, dla znakomitego rodu, męstwa i rozumu wielce szanowany. Może go tu niebawem miłościwa pani ujrzycie, albowiem przysłał mi wczoraj wiadomości, że chcąc się przy naszych relikwiach pomodlić, zjedzie do Tyńca w odwiedziny.

Usłyszawszy to księżna, poczęła nowe żale rozwodzić:

— Prawią ludzie — i bogdaj słusznie, że wkrótce musi wielka wojna nastąpić, w której po jednej stronie będzie królestwo polskie i wszystkie narody, mówiące podobną do polskiej mową, a z drugiej wszyscy Niemcowie i Zakon. Jest podobno o tej wojnie proroctwo jakowejś Świętej...

— Świętej Brygidy — przerwał uczony opat — osiem roków temu została ona w poczet świętych policzona. Pobożny Piotr z Alwastra i Maciej z Linköping spisali jej objawienia, w których wielka wojna istotnie jest przepowiedziana.

Zbyszko aż zadrżał z radości na te słowa i nie mogąc wytrzymać zapytał:

— A prędko ma być?

Lecz opat zajęty księżną, nie dosłyszał pytania.

Księżna zaś mówiła dalej:

— Cieszą się i u nas młodzi rycerze na oną wojnę, ale starsi i rozważniejsi tak mówią: »Nie Niemców — mówią — się boim, choć wielka jest ich potęga i pycha, nie ich kopii i mieczów, ale — prawią — relikwii krzyżackich się boim, bo przeciw tym na nic wszelka moc ludzka«.

Tu Anna Danuta spojrzała z przestrachem na opata i dodała cichszym głosem:

— Podobno prawdziwe drzewo Krzyża Świętego mają: jakże z nimi wojować?

— Przysłał im je król francuski — odrzekł opat.

(C. d. n.)

Krzywdy i nadużycia.

Szulernia w Skawinie. Pod Nr. 115 w Skawinie założyli członkowie tam uczęszczający iście szulerską szkołę, gdzie przez cały post wielki wśród nieszporów i pasyi, gdzie po całych nocach w niedziele i święta zasiada po kilkunastu to do »ferbelka«, to do »chluścika« lub do innych gier, przy których młodzież uczy się w tej akademii szulerskiej okpiwania i wyzyskiwania drugich. O czytelni tu nawet mowy niema, bo ją szulernia już dawno z zajmowanego miejsca wyrugowała. Karciarstwo zakorzeniło się tutaj, jakby jakiś bakcyl holeryczny, a lekarza na tę chorobę ani rusz znaleźć. Policya miejska widocznie cierpi na zastarzały katar, bo choć się kapela karciarska na odbywanie swych muzykalnych koncertów zbiera tuż pod jej nosem, jakoś nic nie przeszkadza i nic nie wie, zdaje się, że to właśnie skutkiem ciężkiego zakatarzenia czyli nosacizny, co jej uniemożliwia wpaść na ślady niebezpiecznej zwierzyny. Sprytniejsi wychodzą z tej akademii sztuki karciarskiej z uśmiechem na ustach, z błyskiem zadowolenia w oczach i z monetą w kieszeni, ale największego zadowolenia doznaje »brat« mojżeszowego wyznania, królujący za szynkwasem propinacyjnym, bo do jego to kieszeni właściwie spływa cała zdobycz z nocy szulerskiej za modrooką gorzałeczkę. Można sobie wyobrazić jacy to będą obywatele z tej młodzieży, która w takiej »akademii« spędza czas wolny.

(Umieszczając powyższy a nam nadesłany artykuł, jesteśmy pewni, że obecny p. burmistrz, jako zacny i energiczny człowiek, wglądnie w tę sprawę i pewno znajdzie lekarstwo na bakcyl karciarski. — *Redakcya*).

Znęcanie się nad żołnierzami. Jak donosi budapeszteński dziennik »Pesti Hirlap«, szeregowiec Michał Franzen, przed sześciu miesiącami wzięty do wojska, został podczas marszu przez kaprala tak brutalnie wypoliczkowany, że mu w uchu pękła błona bębenkowa. Oddano go do szpitała, gdzie zapadł na zapalenie wewnętrznych narządów słuchu, a potem na zapalenie mózgu. Franzen umarł onegdaj. Ojciec jego, właściciel restauracyi w Szegedynie,

wołał nad zwłokami syna: »Oddajcie mi dziecko takie, jakie ja wam dałem!«

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Parlament austryacki zebrał się napowrót po świętach. Czesi znowu grożą obstrukcyą, jeżeli im rząd nie da uniwersytetu czyli szkoły najwyższej czeskiej na Morawach. Niemcy na to żądanie Czechów zgodzić się nie chcą.

Parlament węgierski przedstawia wielki plac kłótni i zatargów. Stronnictwo Koszuta postanowiło nie dopuścić do uchwały o poborze rekruta. To też na Węgrzech dotąd nie było asenterunku — i nie wiadomo, kiedy będzie. Czegóż właściwie Węgrzy chcą? Krótko mówiąc, chcą oni zupełnie oderwać się od Austryi i utworzyć osobne, oddzielne Królestwo węgierskie. W tym celu chcą, aby im dano osobną, węgierską armię, węgierskie chorągwie, węgierską komendę, aby wyrzucono ze szkół pieśń: »Boże wspieraj, Boże ochroń, nam cesarza i nasz kraj!«... Niemal całe Węgry stanęły po stronie partyi Koszuta. Walka ta skończy się prędzej czy później tem, że Węgrzy oderwą się od Austryi i zamiast jednego dużego państwa: Austro-Węgry, będą dwa małe państwa: Austrya i Węgry.

Wiedeń. Nadeszły wiadomości z Wiednia, że ma być zaprowadzona dwuletnia służba wojskowa. Odpowiednie prace już rozpoczęto w ministeryum wojny z polecenia cesarza. Jeśli to nareszcie dojdzie do skutku, będzie to w istocie wielką ulgą i korzyścią dla ludu.

Nadesłane wiadomości z Rzymu.

Na list i zapytanie szanownego Pana Franciszka: gdzie żyję i co robię, odpowiadam w »Obronie ludu«, aby było wiadomo nietylko Panu, ale i czytelnikom »Obrony ludu«, że każdy w swoim stanie pracę i zatrudnienie znajdzie, byle tylko chciał pracować.

Mieszkam w Seminaryum, a mszę św. odprawiam codziennie w kościele katedralnym o g. 6. rano. Lud podczas mszy św. odmawia różaniec i litanię do Najśw. Panny Maryi, po mszy św. śpiewa się »Tamtum ergo«, poczem następuje błogosławieństwo. I tak dzień po dniu przemija, a ja czuję się szczęśliwym, wypełniając swój obowiązek kapłański. Dlatego wszyscy są ze mnie zadowoleni, J. E. ks. kardynał biskup, a szczególnie księża kanonicy całej kapituły, co wyraźnym dowodem tego jest list ks. Rektora Seminaryum do mojego biskupa, w którym wyraził swoje największe zadowolenie ze mnie.

Że zaś tak długo nie dałem Panu wiadomości o sobie, to dlatego, że nie miałem nic ciekawego do pisania, a po drugie nie

miałem też i czasu, ponieważ oprócz obowiązku służby kościelnej, mam zawsze inne zatrudnienia. Jak Panu wiadomo, że już dawno wydałem broszurkę »O obrzędzie poświęcania przez Ojca św. woskowy »Agnus Dei«. Także formy »Błogosławieństwa Apostolskiego«, które dawniej bywały tylko w łacińskim języku, ja zaś zrobiłem w tekscie łacińskim i polskim, które obecnie są powszechnie używane w Rzymie. Napisałem i wydałem broszurkę »O święceniach kapłańskich«. Mojem staraniem zarządzono nowe wydanie obrazu Najśw. Oblicza P. Jezusa, co się podobało nawet Ojcu św. Leonowi XIII., za co J. E. kardynał stanu zaszczczycił mnie pochwalnym listem. Obecnie wypracowałem książeczkę do nabożeństwa w tekscie polskim i łacińskim pod tytułem: »Nagroda wieczna«.

Szanowny Panie Franciszku, do wykonania jakiegokolwiek przedsięwzięcia potrzeba bardzo wiele czasu, trudów i pracy. A więc zdaje mi się, że to usprawiedliwi długie moje milczenie.

Za pamięć i przychylne zapytanie uprzejmie dziękuję i donoszę, że adres do mnie ten sam pozostaje.

Kreślę się z uszanowaniem

Ks Marcin Pinciurek

kapelan przy katedrze (Italia-Roma) w Palestrino.

Kronika i rozmaitości.

Dnia 8. kwietnia b. r. odbyło się posiedzenie pełnego komitetu budowy pomnika Bartosza Głowackiego w Tarnobrzegu, w którem wzięło udział 60-ciu członków. Na porządku dziennym była sprawa przyjęcia jednego z trzech nadesłanych projektów pomnika przez rzeźbiarzy: p. p. Brzegę, Korpala i Wójcika. Uchwalono po wszechstronnych uwagach nad projektami wystawić je na widok publiczny w sali tarnobrzeskiej Rady powiatowej do dnia 3. maja. Projekty można oglądać od godz. 9—12 przed poł. i od 3—6 wieczór.

W tym czasie komitet ma zaprosić p. p. rzeczoznawców dla ocenienia projektów. Dnia 3. maja zbierze się komitet i ostatecznie przyjmie jeden z projektów.

Komitet uprasza Szanowną Publiczność szczególniej z okolic Tarnobrzega o oglądanie i ocenianie projektów. Publiczność może swoje zdanie wyrażać pisemnie, wrzucając kartki do skrzynki, umieszczonej w sali. Dotąd wpłynęło do kasy 2121 kor., a koszta pomnika obliczane są na 4000 kor.

Za Komitet: *Wojciech Wiącek,* sekretarz. *Jan Słomka,* przewodniczący.

Szpak. Przed laty kilkunastu ptak ten był prawie nieznany w pewnej miejscowości, położonej niedaleko granicy śląskiej. Dopiero, gdy sąsiedzi śląscy zaczęli wywieszać na drzewach sztuczne gniazda, z deszczułek zbite, i w tych poczęły się gromadnie gnieździć wczas na wiosnę przelatujące szpaki, wtedy i nasi mieszkańcy poszli za ich przykładem i sprowadzili do wsi liczne stada ptaków, które są odtąd stałymi gośćmi okolicy. Pożytek z nich umieją cenić ci, którzy mają sady.

I u nas możnaby to samo zdziałać, gdyby n. p. Rady powiatowe corocznie w zimie kazały zrobić pewną ilość sztucznych gniazd i rozdały szkołom w swoim

powiecie przynajmniej po jednem, aby były wywieszone w pewnej wysokości na drzewach. Na skutek niedługo będzie trzeba czekać, bo młodzież, lubiąca naśladować wszystko, sama przystąpi do robienia gniazd i będzie je wywieszała. Słowa zachęty — wobec przyrodzonego popędu do naśladowania — będą nawet zbyteczne, a wsie zaroją się ptactwem.

Dobry początek zrobiła już krakowska Rada szkolna, która w bieżącym roku obdarzyła każdą szkołę wiejską w jednę skrzynkę na szpaki. Zdałoby się, aby za tym przykładem poszły Rady szkolne i Rady powiatowe w całym kraju.

Dziwactwa miliarderów amerykańskich przybierają już znamiona rozmiękczenia mózgu u tych ludzi. I tak: jeden z miliarderów nowojorskich urządził wspaniałą ucztę na cześć małpy-goryla. Na dany znak gościom do zasiadania przy stole, wszedł goryl-małpa ubrany we frak czarny, białą kamizelkę i biały krawat pod szyją, prowadząc panią domu pod rękę. Zasiadł przy stole z powagą, jadł i pił, jak i jego towarzysze, posiadacze olbrzymich worów złota. Oczywiście ta tresura goryla na kawalera o pańskich manierach musiała dużo pracy kosztować, no i pieniędzy, ale dla miliarderów niema nic niepodobnego. Daleko jednak lepszy użytek zrobiłby miliarder ze swego złota, gdyby tę miłość dla małpiego rodu zwrócił ku cierpiącej ludzkości, która się nad pomnażaniem jego milionów krwawym potem zlewała.

Drugi znów kolega miliarder urządził w ten sposób ucztę, że każdą potrawę spożywali goście zaproszeni w innej pierwszorzędnej restauracyi. Ponieważ ta wędrówka z jednej do drugiej restauracyi była trochę za uciążliwa, więc nadal zadowalano się tem, że po każdej potrawie zmieniali goście swe miejsce. Proszę więc powiedzieć, czy to nie jest oznaką rozmiękczenia mózgu czyli waryactwem!

Śmierć od bomby z dynamitem. W Chersonie, południowej Rosyi, dwóch uczniów szkoły felczerskiej, w wieku lat 15 i 18, chciało przygotować bombę, napełnioną dynamitem. Żart dziecinny nie uszedł bezkarnie i obydwaj przypłacili go boleśnie: jeden amputacyą ręki, drugi śmiercią. Podczas napełniania bomby dynamitem i po rozgrzaniu tegoż nastąpił wybuch, który spowodował u stojącego przy bombie młodzieńca oderwanie palców i okaleczenie mięśni ręki, drugiemu zaś, siedzącemu niedaleko, kawałki bomby zmiażdżyły kość biodrową. Po amputacyi nogi nastąpiła wkrótce śmierć.

Najwyższym człowiekiem na kuli ziemskiej jest niejaki Edward Bopré, zamieszkały w Ameryce. Jest on z rodu Francuzem. Wysokość jego wynosi dwa metry 52 centymetrów, waga zaś 150 kilogramów, liczy lat 21. Rodzice młodego olbrzyma są zupełnie miernego wzrostu. Edward Bopré ma zamiar zmienić dotychczasowe zajęcie „cowboy'a“ na zyskowniejsze, pokazując się w cyrkach i muzeach.

Dziecko w paszczęce lwa. Dzienniki amerykańskie donoszą: Straszny a ciekawy zarazem wypadek zdarzył się w górach kalifornijskich, niedaleko miasta Pomolo w Kalifornii. W głębokim skalistym jarze, zwanym Ragged Kanyon, o 2 mile od Pomolo, mieszkał osadnik James K. Bearon. W nieobecności męża, który pracował w polu, pani B. wyszła na podwórze, a gdy wracała do domu, spotkała we drzwiach ogromnego lwa amerykańskiego, wynoszacego w paszczęce 10-miesięczne dziecko. Zrozpaczona matka rzuciła się z krzykiem na zwierza, który przestraszony jej odwagą, puścił dziecko na ziemię, a sam cofnął się napowrót do domu i skrył w ciemnej spiżarni. Kobieta zatrzasnęła prędko i zaryglowała drzwi, przywołała męża, a ten już łatwo uśmiercił napasnika. Zwierz był ogromny, mierzący 9 stóp długości. — Dziecko wyszło z tego wypadku zupełnie nieuszkodzone.

Włościanka w obronie polskiej ziemi. W Ks. Poznańskiem w Bartodziejowicach pod Wojcinem chciał pastor nabyć własność Głowackiego, aby na niej zbudować ewangelicką szkołę: przeszkodziła temu dzielna jego żona, gorliwa Polka, mówiąc do męża: „Ani mi się waż sprzedawać ojcowską ziemię i pamiętaj o tem, że ja na to nie pozwolę nigdy!“

Z armii. Z Wiednia donoszą: W kołach wojskowych wiele mówią o mających nastąpić zmianach na najwyższych stanowiskach armii. Między innemi twierdzą, że ks. Ludwik Windischgraetz, generalny inspektor armii, który ukończył 50 lat służby, ma ustąpić. a miejsce jego zająć ma generał Gallgotzy, komendant 10. korpusu armii w Przemyślu. Ponownie utrzymuje się również pogłoska o blizkiem ustąpieniu ministra obrony krajowej Welsersheimba. którego miejsce zająć ma generał Schönaich, komendant 9. korpusu w Josefstadzie.

Z targów zbożowych. Kraków, d. 21 kwietnia 1903. Płacono za 100 klgr. netto Pszenica od 16·— do 16·70; — Żyto od 13·40 do 14·60; Jęczmień od 12.— do 13·—; — Owies z opłatą akcyzową od 13·50 do 13·90; — Groch od 18·— do 24·—; — Tatarka od 13·— do 17·—; – Proso od 11·— do 13·—; — Fasola od 19·— do 26·—; — Jagły od 19·— do 22·—; Siano od 5·60 do 6·40; — Słoma od 4·— do 4·40; — Koniczyna na paszę od 6·40 do 6·80; — Ziemniaki za hektolitr od 3·60 do 4·40; — Jaja za kopę od 2·40 do 2·80; – Masła za kilogr. od 2·30 do 2.60; Kukurudza za 100 kilogr. od —·— o 14·40; Wszystko liczono w koronach.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Jakób Majeran. Prenumeratę otrzymaliśmy, kwitu nie poślemy, bo rocepis pocztowy jest dostatecznem pokwitowaniem.

P. Fedyczkowski. Za tak serdeczne życzenia wesołego „Alleluja“ dla całej Polski, dla grodu Krakusa i dla nas dziękujemy staropolskiem „Bóg zapłać“.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Najwyższe odznaczenie na wystawach światowych w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Marsylii, dyplomy honorowe i złote medale otrzymał



„SAPOMENTHOL"

wyrobu **EUGENIUSZA MATULI**

aptekarza w Radomyślu koło Tarnowa (Galicya). Maść ta znana od lat wielu ze swej skuteczności używaną bywa przez P. P. Lekarzy przeciwko **cierpieniom reumatycznym, gościowym, suchym bólom i pokrewnym.**

Cena za mały słoik **1 kor. 40 hal.**, za duży **5 koron.** Po otrzymaniu należytości lub za zaliczką wysyła dwa razy dziennie wprost: Apteka i Laboratoryum chem. farmaceut. **Eugeniusza Matuli**, Radomyśl koło Tarnowa (Galicya), gdzie też zamówienia przesyłać należy.

Przesyłając pieniądze, dołączyć należy 72 h. na przekaz i opłatę pocztową.

Żądać wyraźnie: SAPOMENTHOL wyrobu EUGENIUSZA MATULI i przyjmować tylko oryginalny w opakowaniu, jak obok rysunek. Ostrzega się przed naśladownictwami. Nazwa, opakowanie i marka ochronna prawnie zastrzeżona.

PARCELACYA

gruntów, w dobrach

I) **Zawada** w powiecie Myślenickim $3^1/_2$ mili od Krakowa, 2 mile od Wieliczki, 1 mila od Myślenic, **ornego** 250 morg w cenie od 300 Kor. do 700 Kor., **łąk dwukośnych i ogrodów** 125 morg w cenie od 600 do 800 Kor., — **lasu** 115 morg w cenie od 150 Kor. do 600 Kor., — **pastwisk** 35 mórg w cenie 80 Kor. do 250. Sprzedaż nastąpi morgami, ewentualnie 3 folwarkami z budynkami z dowolną ilością gruntu. — II) **Swoszowice** w powiecie Podgórskim $^3/_4$ mili oddalone od Krakowa, stacya kolei i Zakład kąpielowy w miejscu, przeważnie **ornego** gruntu 80 morgów przy gościńcach w cenie od 900 Kor. z mórg. — Dwie trzecie części ceny kupna może zostać przy hipotece do ratalnej spłaty. — Bliższych wyjaśnień udziela adwokat *Dr Stefan Kirchmajer* w Krakowie, przy ulicy Pijarskiej L. 1. 8—8

DO ROZPARCELOWANIA

wieś Kołodziejówka, poczta Stanisławów — 349 morgów ogrodu, łąk i roli, 14 morgów pastwisk, 291 morgów lasu. Ogrody do nabycia w cenie 400 złr. za mórg, łąki od 160 złr. za mórg wyżej, rola od 170 do 200 złr. za mórg, las od 50 do 300 złr. za mórg. Budulec na miejscu. Grunta dobre. Kołodziejówka leży $^3/_4$ mili od Stanisławowa. Po wyjaśnienia zgłaszać się należy do p. **Ignacego Winiarskiego** w Kołodziejówce p. Stanisławów.

Wydawcy i właściciele: **Ks. Andrzej Szponder i Dr Michał Danielak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.**

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego.